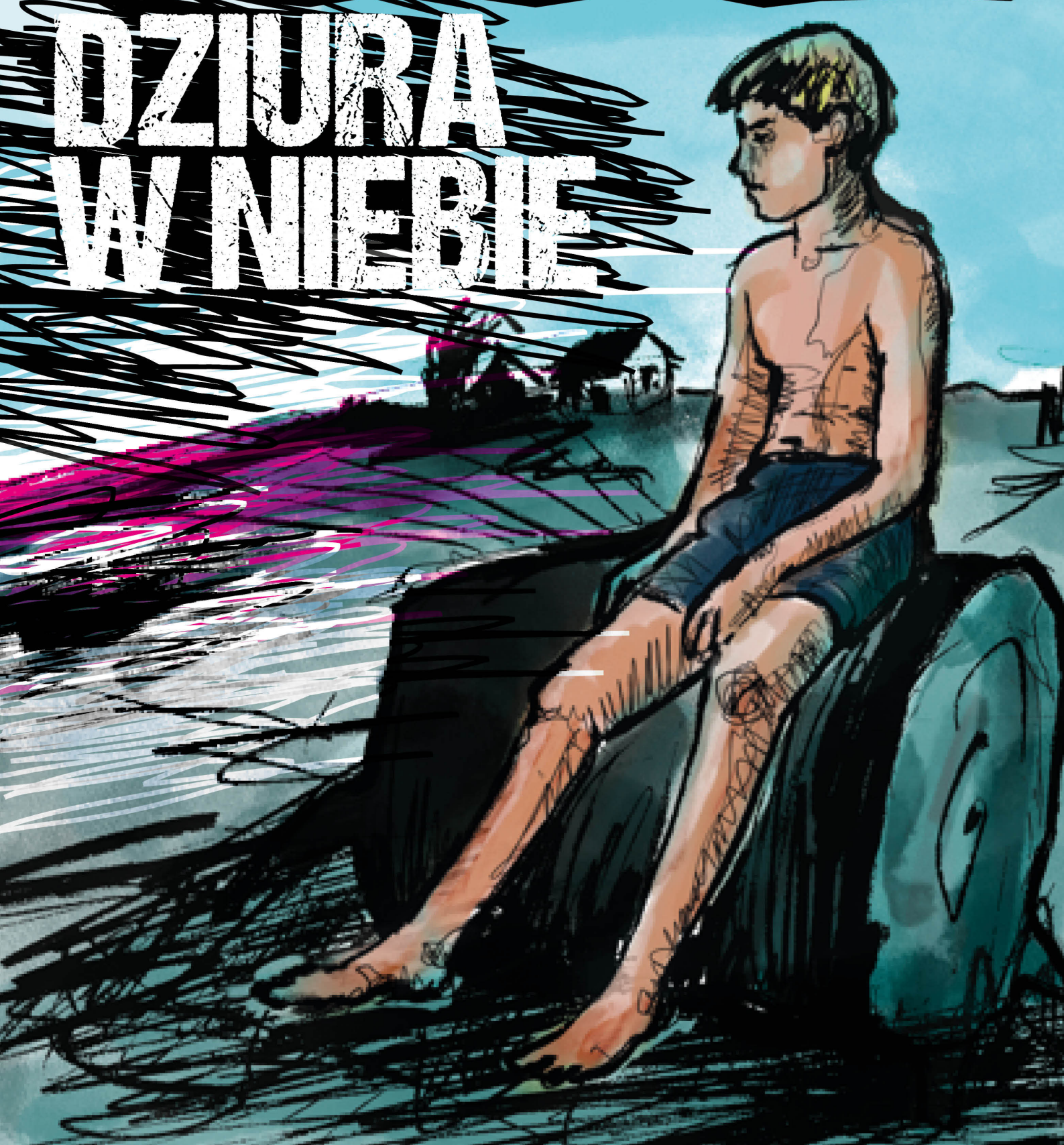


TADEUSZ KONWICKI

DZIURA W NIEBIE



Tadeusz Konwicki

DZIURA W NIEBIE

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2023



ISBN: 978-83-67562-20-1

Copyright © for the text by Maria Konwicka (2022)

Copyright © for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

www.estymator.net.pl

Publikacja elektroniczna na podstawie edycji wydawnictwa Agora, Warszawa 2010,
do której tekst, na podstawie rękopisu i wcześniejszych wydań, opracował
Przemysław Kaniecki

Wydanie I: Iskry, Warszawa 1959

Projekt okładki: Olga Bołdok

Ilustracje: Danuta Konwicka

I

– Polek! Polek! – krzyczał Kajaki biegnąc przez błotnistą łąkę. Bardzo mu się śpieszyło.

– Polek! Polek!

Przeskoczył rów z tęczowymi okami na smolistej wodzie. Potknął się, przyklęknął jakby z zamiarem związania sznurowadeł niewidzialnych butów na czarno spękanych stopach, i już pędził dalej, wołając rozpaczliwie:

– Polek! Polek!

Sina chmura połknęła nagle słońce. Ściana złotawego światła uciekała szybko w kierunku Puskarni.

Polek ziewnął ze smakiem i powoli przewrócił się na drugi bok, aby przyjrzeć się nadbiegającemu przyjacielowi. Kajaki powodowany przemożnym instynktem symetrii krzyknął jeszcze raz: – Polek! Polek! – i usiadł w krwistym kręgu młodej koniczy. Ostrożnie wyciągnął przed siebie stopę koloru marengo, poszperał przy niej z troską i wreszcie oderwał od pięty dno butelki z seledynowo błyszczącymi kłami odprysków.

– Umyj nogę w rzece – rzekł bez pośpiechu Polek.

– A guza. W wodzie żyją zarazki.

Stał z piętą błoto, poruszył niepewnie palcami skaleczonej stopy.

– Może by krwawnikiem, co?

– Ja przykładam liście babki.

– A guza. Babka tylko na stłuczenia. Łopian – co innego.

– Łopianem okłada się czyraki.

– A co to czyraki?

– Taka jedna choroba.

– Może ty ją miałeś?

– No pewnie.

– To jak ona wygląda?

– A ja tobie nie muszę mówić.

– No bo bujasz.

– Bujam? A komu zeszłej zimy rzuciła się krew nosem i ustami?

– A ja miałem liszaje.

– Chorobę znalazł: liszaje. Jak byłem mały, to spadłem z dachu świronu na kamienie.

– A mnie koń kopnął. O, widzisz, tu jest taki guz na żebrach.

– Jak koń kopnie, to nie choroba.

– A co?

– No pewnie, że nie choroba. Choruje się z niczego. Po prostu kładzie się do łóżka i już.

– A ty jak spadłeś na kamienie, to co?

– To szkło.

Polek leniwie przewrócił się na drugi bok.

– Pasiesz krowy? – spytał go po chwili Kajaki.

– Tak sobie leżę.

– Ale na otawie widzę wasze krowy.

– Mówię ci, że tak sobie leżę.

– No to przecież pasiesz krowy.

– Nie pasę, tylko pilnuję.

– I możesz w każdej chwili odejść?

– Mogę.

Kajaki przysunął się na kolanach do przyjaciela.

– Górale zajęli Puskarnię.
– Nieprawda! – Polek zerwał się na równe nogi.
– Prawda. Łapa wysłał mnie po ciebie. Zbiórka jest o drugiej.
– A teraz która?
Kajaki spojrział w niebo, na słońce grzęznące w obłokach.
– Pewnie trzecia.
– To czemu tak późno mówisz?
– No bo nogę przebiłem. Wiesz, chodźmy od razu pod Puskarnię, to może zdążymy.

– A krowy?
– Gdzie one pójdą? Widzisz, nawet Batraczka się położyła.
– A jeżeli pójdą?
– Boisz się Dziadzi?
– Ja?
– Boisz się. Ja wiem.

– Ani trochę. Jak zechcę, mogę zaraz trafić kamieniem Pluskę.
Po drugiej stronie rzeki kamienną drogą toczył się ciężko wóz z workami mąki. Koń i jego właściciel, poważny rudy furman przewiskiem Pluska, kiwali się miarowo, jednak ubieleni, jednak zrezygnowani wobec uciążliwej monotonii życia. Za skrzem Jaskuli, nieopodal Puskarni, dzwonił jak druty telefoniczne przed deszczem – rozkraczony nad odnogami rzeki stary Młyn Francuski.

Polek wyszukał zgrabny kamień, taki poręczny „płaskun”, i z odpowiednim fałszem rzucił go ponad rzeczką. Pocisk zatoczył przepisowy łuk, rąbnął znienacka we wzdętą banię worka za plecami Pluski. Podniósł się z nagła biały tuman mącznego kurzu, co nie uszło uwagi ani sędziwego perszerona, ani pana Pluski.

– Ty, Polek, ja tobie uszu oderwę! – krzyknął poirytowany furman.
– Może mi pan oderwać, ale z tego miejsca!

Tu Polek uczynił brzydki gest.

– Ty nie będziesz rzucać w starszego człowieka, jak ja ciebie dogonię!
– Pluska-kluska, wiatry puska!

Pan Pluska usłyszawszy tę popularną w Młynach Dolnych i Górnych zniewagę, zsiniał niebezpiecznie, zaczął skoczyć z wozu i pobiegł ku brzegom rzeczki Jaskuli. Szpakowaty mustang oglądał się ze spokojem za swoim panem.

– Polek, ja przejdę wodę i pani Linsrum ciebie nie pozna.
– Właśnie czekamy na pana.
– Oj, Polek, oj, ja z ciebie trzy skóry zedrę.

Pan Pluska tupał nerwowo wielkimi umącznionymi buciorami. Ogromne biczyisko, zdobne w buraczkowe pompony, insygnium fachu furmańskiego, groziło chłopcom zza Jaskuli dotkliwymi plagami.

– Polek, Łapa czeka – przypomniał Kajaki.
– Panie Pluska, dlaczego pan w charta jeździ? Patrzcie, jak on merda ogonem.
– Górale coś knują. U nich od wczoraj mobilizacja. Wszyscy dowódcy armii byli wzywani do Kękusia – szeptał Kajaki.

– Polek, gdzie ty widzisz charta, bo ja nie widzę. To jest dobry koń, a ja z ciebie bizunem zrobię zajac.

– To ja idę. Powiem Łapie, że zdrefiłeś.

I Kajaki, trochę utykając, ruszył w poprzek łąki. Polek rozejrzał się niespokojnie. W otawie leżały krowy, żując starannie czarnymi żuchwami.

– Czekaj!

Pożegnawszy pana Pluskę kilkoma prowokacyjnymi uwagami, Polek rzucił się w pogoń za przyjacielem.

– Ja do ciebie przyjadę w gości, zobaczysz! – wołał porzucony i bezradny pan Pluska.

Polek i Kajaki zdecydowanym kłusem oddalali się w stronę Puszkarni, gdzie białe kije komina fabrycznego tkwiły w mrowisku zieleni starych dębów. Pan Pluska napił się wody w Jaskuli i z ciężkim westchnieniem podszedł do wozu. Domyślny koń ruszył natychmiast przed siebie ciasną strugą drogi nabitą gęsto koślawymi kamieniami polnymi.

Przed Puszkarnią czyhała jednak na obu żołnierzy Dolnych Młynów bardzo poważna przeszkoda. Był nią pojedynczy i osamotniony w kępach leszczyny dom, dom schludny, kolorowy, oblany dokoła rabatami kwietnymi. Na werandzie owej willi siedział za stolikiem chłopczyk rówieśny Polkowi. Twarzyczkę miał miłą, układną i tak doskonałą, że aż nieprawdziwą. I oczka były błękitne, i cera jak z obrazka, i włosy delikatne niczym słoma jara. Pochylony nad kajecikiem pisał coś cierpliwie i starannie.

Polek oraz Kajaki zatrzymali się przed zieloną drucianą siatką ogrodzenia. Patrzyli przez chwilę na chłodny ogród z bezwstydnie kolorowymi kwiatami, na cienistą werandę i pracowitego kolegę.

Kajaki spróbował przez okno siatki zerwać uschniętą malinę.

– Może jego też zawołać? – spytał niepewnie.

Polek milczał pogardliwie.

– Zenuś! – odezwał się Kajaki. – Słyszysz, Zenuś?

– Proszę – Dobrzyńkiewicz uniósł głowę znad zeszytu.

– Zenuś, chodź tu na chwilę.

– Nie mogę, ponieważ jestem bardzo zajęty.

– No chodź, nie wygłupiaj się.

– Przyjdźcie za pół godziny, wtedy będę rozporządzał odpowiednią ilością czasu.

– Chodź, coś ci powiem ważnego.

– Powiedz więc głośniej i nie będę musiał schodzić z terasy.

– Przypieprzę mu kamieniem – rzekł Polek.

Kajaki był jednak cierpliwszy.

– Zenuś, to tajemnica. No chodź, mówię ci chodź, nie pożałujesz.

Zenuś zamknął zeszyt i zszedł do ogrodu pod druciany płot.

– Jestem do twojej dyspozycji, lecz staraj się mówić krótko i rzeczowo, gdyż o piętnastej dwadzieścia mam ćwiczenia samopoczuciowe.

– Łapa wzywa wszystkich Doliniarzy: Górale zajęli Puszkarnię.

– Nie mogę mocować się w waszych bijatykach, ponieważ doktor mi zabronił.

Moja głowa stanowi już dziś pewną wartość, nie powinienem jej narażać na wstrząsy, które mogłyby się odbić ujemnie na mojej pracy.

I spojrzał na nich poważnymi, mądrymi oczami.

– To znaczy drefisz?

– Nie znam się na waszym ordynarnym słownictwie. Jeśli natomiast chcecie, mogę wam odczytać fragmenty mego wypracowania domowego.

– Oj, jak ja bym mu przypieprzył – jęknął Polek w bezsilnej wściekłości.

Oddzielała ich od chłopca z zeszytem bądź co bądź gęsta siatka płotu.

Zenek otworzył kajet, zmarszczył czoło, ślizgając się wzrokiem po stronach.

– O, mam. Tu, to właśnie jest interesujące od strony formalnej: „I poszli nasi chłopcy w bój, w śmiertelną krwawą walkę o wolność ukochanej ojczyzny. Przebiegali bory, lasy, przemierzali drogi i wertepy, miedze i żyzne pola, rosząc ziemię ojczystą rubinowymi kropkami posoki”... Nie, to ostatnie nienadzwyczajne, będę musiał jeszcze przepracować. Rozumiecie: chciałem uniknąć powtórzenia słowa krew, ale ten archaiczny narzędnik brzmi trochę sztucznie, jak uważacie?

– Ty, wysuń rękę przez siatkę – raptem poprosił namiętnie Kajaki.
– W jakim to celu? – zdziwił się Zenuś.
– No wysuń, to zobaczysz – błagał Kajaki.
– Nie chcę.
– Co ci zależy, wysuń. Tylko jeden raz.
– Nie widzę w tym określonego sensu, więc po co się fatygować?
– Ale jeden jedyniutki raz.
– Chcemy się z tobą pożegnać – wtrącił perfidnie Polek.
– Wystarczy przecież ukłon. W społeczeństwach cywilizowa...
– Idziemy na wojnę, przyjacielu, no daj grabę, no Zenuś – żebrał Kajaki.
– Jeśli tak bardzo wam na tym zależy, to w ostateczności...
Zenuś przełożył zeszyt do lewej ręki, a prawą, czyściutką dłoń przecisnął przez drucianą szparę. Kajaki w mgnieniu oka skoczył jak tygrys i wpił się zębami w rączkę grzecznego chłopca.
– Ua! – wrzasnął Zenuś, znienacka i brutalnie zaatakowany. – Ua! Świnie, łobuzy!
Polek rozpoczął staranne przemówienie:
– Ach że ty w spinozę kopany, ty szantrapo formalna, ty pimpusiu pomocą szkolną gładzony po ciemieniu, ty wybździuku w rumianku kąpany, ty glonie rumiany, pierniku piernikiem opierniczony, brodawko pedagogiczna, ty chwieju gałandzki.
– Ohyda! Ohyda moralna! – krzyczał Zenuś uwolniwszy rękę z paszczęki Kajakiego.
– To my krew przelewamy z Góralami, a ty tu będziesz poezje pisał, taka twoja mać! – rozsrożył się Polek.
Zupełnie a propos na ganku ukazała się mama Zenusia, pani Dobrzyńkiewiczowa.
– Cóż to za hałasy, co się dzieje, chłopcy?
– Proszę pani, on nas zaczepia bez przerwy – płaczkliwym głosem poskarżył się Kajaki. – Mnie z nogi krew cieknie – uniósł wysoko skaleczoną szpetnie nogę.
– Mamo, jestem ranny – rzucił się ku rodzicielce Zenuś.
– Ach, Boże, co się stało?
– Ukąsił mnie Kajaki.
– On? Z takim stanem uzębienia? Boże, mógł cię zakazić bakteriami! Róziu, dzwoń po lekarza, Boże, jak to dziecko krwawi...
Rózia w oknie kuchni spokojnie piła ze spodka herbatę na „przykaskę”, to znaczy zagryzając kostką cukru.
– Do wesela zagoi się – uogólniła ze spokojem wschodnioeuropejskiego filozofa. Białe kot wskoczył na parapet, liznął kostkę cukru.
– Ech ty, skacina – westchnęła panna Rózia i zadumała się z nagłą, topiąc nie nazbyt smukłe palce w futrze faworyta.
– Oczywiście Linsrum, zawsze on. Czeka, łobuzie, powiem to wszystko pani Linsrumowej – groziła Dobrzyńkiewiczowa.
– Mamo, a jakich on strasznych słów używał, ten pastuch. Mamo, czuję, że zbłądłem. Jest mi zimno i słabo. Obawiam się, iż umrę z upływu krwi – Zenuś zatoczył się i byłby upadł, gdyby nie silne dłonie matki.
– Wiejmy – szepnął Kajaki – idzie ze stacji Dobrzyńkiewicz.
Rzeczywiście dróżką od kolei siedł pan Dobrzyńkiewicz, bawiąc się grubą i pięknie okutą laską.
– Zenuś, ja ci jutro też poczytam w szkole! – krzyknął na pożegnanie Polek.

– Mamo, on się odgraża, a ja jestem taki słaby, tyle przeżyłem niespodzianie – skarżył się Zenuś zamierającym głosem. – Dobrze, że idzie tatuś, który, mam nadzieję, skarci tych ohydnych wyrostków.

– Panicz to tak mówi, jakby z książki czytał – odezwała się Różia z czeluści kuchennych.

Obaj przyjaciele byli już daleko. Po forsownym biegu, który ich zabezpieczył przed ewentualną pogonią, odczuli pragnienie. Siedli więc teraz nad rowem, żując stary, na wpół zeschnięty szczaw.

– Ja nie wiem, co to w ogóle będzie – rozmyślał Kajaki. – Oni sami nie dadzą rady. Łapa, Rymszowie, Bocian, Kaziuk, Łońka. Tylko sześciu ludzi.

– Zmitrężyliśmy u Zenusia przez ciebie. A ty wiesz, co się stanie, jeśli Górale zwyciężą?

– Będzie się liczyć, że przegraliśmy bitwę – rzekł niepewnie Kajaki.

– A jutro! Zostaniemy ich niewolnikami.

– O Jezu! I co?

– No wszystko. Jak Kękuś zechce, to będziesz musiał całą wodę z Jaskuli wypić.

– A guza.

– E, bratku, jak niewolnik, to niewolnik. Takie jest prawo.

Kajaki popadł w wyraźne przygnębienie.

– Czemu od razu nie poszedłeś, kiedy ciebie wołałem?

– Ba – rzekł wymijająco Polek. – Popatrz, leci Ferdzia.

Istotnie, stecką od Puskarni pędził Ferdzia, chłopak złotowłosey i niedbale odziany. Gonił przed sobą fajerkę na drucie. Ujrawszy wypoczywających przyjaciół, zatrzymał się, unieruchomił swój aparat i siąknął czerwonym nosem. Polek przypatrywał się chwilę jego twarzy o wielkich, wypukłych oczach, ujętej z obu stron w misterne pierścienie pejsów.

– Skąd? – spytał lakonicznie.

– Z parpierni – odpowiedział basem Ferdzia. – Oj, oj, jaka tam bitwa.

– Biją się? Widziałeś?

– No, nie widziałem, ale wiem.

– Mów.

Ferdzia przydeptał nogą czyhunowy krążek, opuścił głowę z zażenowaniem.

– Podglądałem z dębniaku. Nasi weszli do parpierni i nie wyszli. To pewnie się biją.

– A ty?

– Łapa nie wziął.

– Czemu?

Ferdzia siąknął nosem i milczał.

– Ech ty, Ferdzia, starozakonny wojownik – westchnął Polek.

Chłopak uniósł trochę głowę, patrzył spode łba.

– No to goń fajerkę do domu, matka pewnie kwaśności nagotowała.

Nie odchodził.

– Czego gały wywalasz? – zdziwił się Polek. – Nie twoja to rzecz mieczem wojować. Skończysz szkołę – będziesz śledzie liczyć.

I chciał się odwrócić w absolutnym znudzeniu, gdy nagle a niespodzianie spadła nań huraganowa burza pięści i dotkliwych kopniaków. Zasłaniając się rękami, próbował perswadować:

– Ferdzia, zwariowałeś? Jak dam ci zaraz syfona, to bąble uszami pójdą. Ferdzia, odejdz, bo się zgniewam.

Lecz rozszalały chłopak z fajerką nie słyszał tych perswazji. Płacząc spazmatycznie, walił na oślep kulakami, bódł wielką, stanowczo za wielką w proporcji

jego ciała głową, kopał zapamiętałe przeciwnika. Zaskoczony furią Polek cofał się, niezdarnie parując gwałtowne razy. Próbował interweniować Kajaki, ale rychło odpadł z naderwanym uchem.

Nie pozostało nic innego jak ucieczka. Dopiero z bezpiecznej odległości zdecydowali się spojrzeć za siebie. Zgarbiony Ferdzia siedział pośrodku ścieżki przed fajerką nadzianą na drut i rzewnie płakał.

– Ale zajadły – powiedział Kajaki przymocowując na powrót bardzo sfatygowane ucho.

– Jak będę miał czas, to mu jeszcze przysunę. Cały rękaw mi oderwał – rzekł Polek.

W dole przed nimi była Puszkarnia. W nadrzecznej zieleni leżała martwa jak biała dłoń. Biegł ku niej stromy skłon dębniaku, gęstwa leszczyn, dzikich malin i łopianów wdzierający się na łąki. Nad tą głęboką doliną wisiał posępny obłok ciszy.

– Polek, a może wszyscy poszli do domu? – spytał niepewnie Kajaki.

– Boisz się?

– Nie. Tak sobie pytam.

– Chciałbyś wrócić?

– Pewnie. Taki kawał drogi lecieć na darmo.

– A jeśli nasi zwyciężyli i teraz dzielą niewolników?

– Myślisz?

– No pewnie.

– To ja bym też dostał prawdziwego niewolnika?

– No pewnie.

Chwilę milczeli, patrząc już innymi oczami na dziwnie cichą papierię.

– A co ty zrobisz ze swoim niewolnikiem?

– Będzie krowy pasł. A ty?

– Ja, ja... – zamyślił się Kajaki. – Jeszcze nie wiem.

– Możesz mu kazać robić to, czego sam nie lubisz.

– To niech się myje za mnie rano.

– Eee, nie wolno.

– Dlaczego?

– No bo jakoś durno. Niewolnik to niewolnik, no, rozumiesz...

– Lecimy?

– Lecimy.

Puścili się co sił zboczem przeciętym u dołu torami kolejowymi. Byszczące szyny, zniekształcone przez rozpalone powietrze, pulsowały niespokojnym rytmem niknąc w mętym od upału horyzoncie. Przeskoczyli oba rowy wypełnione pokrzywami i już mieli zanurzyć się w dębniaku, gdy od przejazdu doszedł ich czyjś cichy jęk.

Ogromna i prosto ku niebu służąca czupryna Kajakiego w dziwny sposób jeszcze bardziej się wyprostowała. Oczy jego pięknie się zaokrągliły jak nowe mosiężne pięciogroszówki.

– Słyszałeś? – spytał.

– Mh.

– Co to może być?

– Nie wiem.

Żalosa skarga, niczym skowyt wilkołaka, zabrzmiała nagle po raz drugi. Kajaki przysiadł z wrażenia i szepnął od dołu, spomiędzy gęstwy jaskółczego ziela:

– To tam, w tych starych rejkach.

– Mh, coś się rusza.

– Może lepiej dać nogę?

– Ja nie wiem.

Gorączkową ich naradę przerwał po raz trzeci głos wydobywający się spod sterty zapasowych szyn leżących na szpalach koło przejazdu. Tym razem brzmieniem swym i charakterystycznym podtekstem zakatarzenia wydawał się dziwnie znajomy.

– Ludzie dobrzy, bracia w Chrystusie Panu, pomóżcie zbłąkanemu podróżnikowi.

Nie było wątpliwości, że w rowie, w naturalnej skrytce pod szynami, leży zacny rzemieślnik Dolnych Młynów, pan Skiers. Chłopcy z zachowaniem resztek ostrożności zbliżyli się do sąsiada.

– Ach, chłopcy mili, zasłabłem idąc z Podjelniaków i życia tu chyba dokonam. Niesławne było one i nikczemne. A ja tak ludzi kochałem, Boże Ty mój, jak ja ich kochałem! Bywało, przechodzą koło mego domu, to ja do nich wybiegam ze szklaneczką pełną po gradusy. Tak ot z niczego, od serca, z miłości do bliźnich. Wypijaliśmy, Panie Boże, zakąszaliśmy kwasem chlebowym, który jeszcze, jak w piśmie piszą, Panienkę Niebieską od zgagi ratował, i dobrze było, mili moi, dobrze było na tym świecie.

Pan Skiers stęknął żałośnie, spróbował obrócić się wśród niewdzięcznych pokrzyw poufale całujących go w oba policzki.

– A dlaczego mnie ludzie nie lubią, powiedzcie, kochani? Czymże to ja zasłużyłem? Może z podłego rodu jestem, może robotę nie tak wykonuję, może się komu naprzykrzam? Ze szlacheckiego stanu pochodzę, herb mój Kownia, trzy miecze na czerwonej tarczy, w wojsku cara jak służyłem, to „dwarianin” o mnie pisali w dokumentach i prędzej zwolnili. A że zbiednieliśmy za wolą boską, że pracą prostą muszę się trudzić, to nie grzech, mili moi. Święty Józef, wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie, też fach zwykły miał i fuchę stolarską odwalał. A mnie jak wyjdą czasem kamasze – ludzie nadziwić się nie mogą. Jeden sędzia to z miasta do mnie przyjeżdża. Ileż razy naprasza się, spokoju nie daje: „Panie Skiers – mówi – zrób pan giemzowe sztyblety, bo w pańskich to i u wojewody nie wstyd na balu się pokazać”. Tak mówił, kochani, żebym jutrzejszego dnia nie doczekał. Bo ja, panie, i w obejściu delikatny jestem, i wiem, co trzeba. A w Podjelniakach, chłopcy moi, ty jeden zdaje się jesteś od Linsruma, buty tobie na zamówienie zeszłej zimy szyłem, a w Podjelniakach, chłopcy, skrzywdzili mnie, dali odczuć, że mnie nie lubią. Mnie, Skiersia, wyprosili ze sklepu i przykrym, plugawym słowem sponiewierali. Ach, życie moje, życie...

Tu pan Skiers rozplakał się nagle i rzewnie, demonstrując obfitość łez godną dziecka.

– Nie ma już dla mnie życia. Nadojadłem wszystkim. Starych trzeba zabijać: sami się męczą i drugih męczą. Weźcie, chłopcy, mnie pod pachy, wyciągnijcie na tory. Zróbcie dobry uczynek.

Zacny rzemieślnik uniósł się odrobinę na łokciu i wyciągnął ku chłopcom błagalnym gestem rękę.

– Proszę was i zaklinam, chrześcijan małoletnich, skróćcie moje męki. Kochałem ludzi, ach jak ich kochałem, nie do wiary, tak kochałem, a to wszystko sukinsyny. Wyciągnijcie mnie, szlachcica, na tory, odwdzięczę się wam. Mówcie: co chcecie za ten uczynek?

Chłopcy powolutku, tyłem, wycofywali się z drastycznej sytuacji. Pan Skiers zapitym, jednakże bystrym okiem spostrzegł ich manewr i wzmocnił tembr głosu.

– Ludzie, pomóżcie, jak możecie! Skróćcie cierpienia waszego brata. Jeśli nie chcecie męczyć się w taki gorąc wyciąganiem starego na tory, to skoczcie po ćwiarteczkę. Skredytują wam, jak powiecie, że dla Skiersia, pana Skiersia. Nie dadzą ćwiarteczki – to niech będzie „kruczek”. Ulitujcie się, skaciny, bo was poprzeklinam na zawsze. W imię Boga...

Chłopcy nie czekali na dalszy rozwój wypadków. Za plecami słyszeli w stukocie swoich pięt ucichający z wolna krzyk pokornego szewca:

– Ach wy, darmożjady, bydliny, bodaj wam Matka Boska ręce i nogi...

W zeszłorocznych liściach, jak w rudym śniegu, zjechali zboczem dębniaku ku łąkom. Instynktownie skryli się za pokrętny, stary krzak leszczyny. Przed nimi stała nieczynna papiernia zwana Puszkarnią. Białe czworokątne ściany przykryte były sitem dachówkowego dachu. Główny budynek otaczała siwa, próchniejąca grzybnia przybudówek. Na wysokim kominie, w czarnej drucianej czapie, żyły ptaki.

– To co, wejdziemy? – spytał Kajaki zdławionym głosem.

– Ty idź pierwszy jako ubezpieczenie.

– Dlaczego ja?

– Bo jesteś mały. Zwiadowcy muszą być mali.

– Ale mnie noga boli.

– Cicho, ćśśś...

Lecz to tylko stadko gawronów poderwało się ze szczytu komina. Znowu uczyniło się ciemno: czarna chmura pochyliła się nad doliną. Wiatr raptem przebiegł po koślawych daszkach przybudówek, szarpnął gdzieś ramą okienną.

– Czy musimy tam wchodzić? – upewniał się nagle skrupulatny Kajaki.

– Skoro przyszliśmy, to trzeba.

– Ale ja pierwszy nie pójdę, bo jestem skaleczony.

– No to chodźmy razem.

Ostrożnie, skradając się, ruszyli zygzakiem w kierunku szczerbatych drzwi.

– Cicho, tylko cicho – mówił Kajaki, bardzo głośno przełykając ślinę – to ich zaskoczymy.

– Kogo?

– Nie wiem. Kogoś zaskoczymy.

Naraz Polek pochylił się gwałtownie nad ziemią i uniósł coś ostrożnie w palcach. Kajaki podczołgał się do kolegi przyciskając dłonią zbyt głośno bijące serce.

– Co to jest?

– Ząb.

– Ząb? Czyj?

– Ludzki.

– Ludzki? O Jezu.

– Aha. Jeszcze świeży, niedawno wybity.

– Może Kaziuka?

– Nie. To jest czysty ząb.

– Patrz, taki szeroki, zupełnie jak Łapy.

Polek wyprostował się nagle.

– Racja. To jest ząb Łapy.

– Bili się. Ferdzia nie kłamał.

– Szukajmy innych śladów.

Przeczesał trawę tam i z powrotem, bez rezultatu. Przez wyłamane deski drzwi widać było wilgotną, tajemniczą czeluść wnętrza opuszczonej papierni.

Polek znalazł kamień i cisnął nim w drzwi. Uderzenie rozbrzmiało złowróżbnym echem.

– Co ty robisz? – zląkł się Kajaki.

– Sprawdziłem, czy tam nikogo nie ma.

– Nikogo?

– Nie.

– Na pewno?

– Gdyby ktoś był, to wyszedłby na podwórze.

– Aha, rozumiem – rzekł już zupełnie innym głosem Kajaki. – No co, przeszukamy tę budę?

Pogwizdując niedbale, wsadził ręce do kieszeni i ruszył w kierunku drzwi. Kopnął nonszalancko drewniane wierzeje, zapomniawszy o skaleczonej nodze.

– Off – syknął – już ja was załatwię.

I jednym szarpnięciem wyrwał nadpróchniałą deskę.

– Polek, boisz się? Chodź no żywiej.

Co rzekłszy, Kajaki nucąc zniknął w czarnym wyłomie wrót. Polek zbliżył się do drzwi, wstrzymał głowę w otwór. Ciemno, gdzieś z rzadka padają krople wody do płytkiej kałuży.

– Kajaki!

Nikt nie odpowiedział.

– Kajaki! – powtórzył ze ściśniętym sercem.

Cisza.

Wstrzymując oddech, Polek ostrożnie przecisnął się do wnętrza. Tu wyprostował się i chciał już wołać przyjaciela, gdy nagle jakieś potworne, silne uchwyty spadły na jego ramiona i nogi, obaliły raptownie na mokry beton.

– Ratunku! – zdołał jeszcze krzyknąć.

II

Dziadzia Linsrum ciosał spokojnie kolki do podwiązywania pomidorów. Była to praca dosyć monotonna, więc zapadł się w sobie tylko wiadome rozmyślania. Trzaski miały się wokół pnia jak żywe złote rybki. Zuchwalsze wskakiwały na solidne buciorzy Dziadzi, podbite własnoręcznie oponą samochodową – szczyt elegancji praktycznych Dolnych Młynów. Niezbyt inteligentna kwoka Zazula, stała towarzyszką prac Dziadziowych, próbowała dziobać smoliste drzazgi. Bezsensownej tej czynności przyglądał się leniwie Panfil, który leżał koło budy, złożwszy swą mądrą i doświadczoną głowę na wyciągniętych przednich łapach.

– Na podwórku pracuje i nie widzi, że krowy przyszły – odezwał się naraz w tej przedwieczornej leniwej ciszy głos Babki Linsrumowej.

Panfil, spostrzegłszy gospodynię, ożywił się gwałtownie, markując poważne zajęcie przy swym smolistym ogonie, Zazula rzuciła się bezmyślnie w stronę ganku, gdzie stała pani Linsrumowa, a Dziadzia wbił starannie siekierę w pień i obejrzał się na furtkę. Rzeczywiście, nad sztachetami widać było wyciągnięty łeb Batraczki, która w tym momencie ryknęła z gniewną niecierpliwością.

Dziadzia spojrział na słońce, wysokie przecież jeszcze, i poszedł otwierać bramkę. Batraczka wpadła ochoczo na podwórko, przewracając wiadro z wodą. Dziadzia patrzył wyczekująco w ciasną perspektywę piaszczystej uliczki.

– A gdzie reszta krów? – zaniepokoiła się Babka. – Gdzie Polek?

Dziadzia wzruszył ramionami, popatrzył jeszcze raz na słońce i wrócił do pnia z siekierą. W ten sposób zademonstrował swój punkt widzenia: zupełną obojętność wobec tajemniczego wypadku.

Cały trud rozwikłania zagadki spadł więc na Babkę. Pani Linsrumowa wbiegła zatem do kuchni, aby się przyczesać przed lusterkim i trochę ogarnąć. Po kilku minutach kroczyła już koślawą uliczką Młynową, odpowiadając godnie na pozdrowienia znajomych wysiadujących cierpliwie przy oknach w oczekiwaniu jakiejś bliżej nieokreślonej sensacji, takiego zdarzenia, które by rozdarło ten cikliwy i nudny, pachnący maciejką przedwieczerek letni.

W oddali, w tym miejscu głównej ulicy Dolnych Młynów, gdzie gubiła się już ona niejasno w prostokątach dojrzewającego owsa, pojawiła się jakaś chwiejna postać i zaraz też rozległ się zrazu niepewny, potem coraz donioślejszy śpiew. Piechur ów w sposób bardzo wyraźny mocował się z naturalną siłą przyciągania ziemi: zataczał się od jednego płotu do drugiego, potykał się w koleinach drogi, padał nawet na kolana, następnie prostował się do postawy żołnierskiej, acz chwiejnej. Tylko śpiew jego był zdecydowany i ponad miarę zwycięski:

Ura, ура,
Idziom my na wroga
Za światuju Rassiju,
Za bielawo cara...

Nie ulagało już wątpliwości, że ulicą Młynową zbliżał się pan Skiers, znany wszystkim rękodzielnik. Babka Linsrumowa zatrzymała się na chwilę, wahając się, czy nie wrócić do domu. Pan Skiers już ją jednak spostrzegł, przyśpieszył nawet wyraźnie, aby co rychlej paść na klęczki przed zakłopotaną kobietą.

– Niewiasto światobliwa, orędowniczko nasza... – rozpoczął misterne przemówienie. Jednak Babka nie dała mu szansy wykorzystania porywu natchnienia.

– Wstyd, pan Skiers, wstyd, biały dzień, a pan po drogach wala się.

– Ach, Boże mój, za co Ty mnie tak poniżasz – zapłakał rzemieślnik uderzając czołem o ziemię. – Lepiej było już pod pociągami zginąć. Daruj człowiekowi słabemu. Wódka mnie gubi i nieżyczliwość ludzka. Byłem w Podjelniakach skórę kupować, Boże Ty mój, po drodze w lesie pieniądze zgubiłem, no to i z bólu „kruczek” niewielki wypić musiałem. Za co ty na mnie krzyczysz, czy za moje nieszczęście, czy za moje poniżenie? Kopnij psa, kopnij batraka, połam stare kości – tu pan Skierś rozdarł na piersi odzienie, przedstawiając Babce swoją lichą klatkę piersiową. Sytuacja stawała się powoli drażliwa, gdyż coraz więcej ciekawych głów wyglądało sponad płotów.

– Ot bezwstydy, dowodzi jak dziecko. Poszedłby wypaść się do domu. Tylko zgorszenie dla ludzi. Może gdzie widział Polka z krowami? – rzekła Babka, aby przerwać kłopotliwy incydent.

– I Polka widziałem, i krowy widziałem. Wszystko powiem jak na spowiedzi, tylko daj, święta kobieto, kielicha na pochmialkę. Takie odczuwam boleści, że nie do wytrzymania, a twoje naleweczki wyleczyłyby i umarłego. Pan Jezus ci wynagrodzi, szlachetna, miłosierna istoto, którą wszyscy czcimy i kochamy – przy tych słowach pan Skierś ponownie zalał się łzami i jął gwałtownie całować kraj szaty Babki Linsrumowej.

– Niech puści, bezwstydy, niech opamięta się – broniła się Babka przed natarczywością Skiersia.

– Koło przejazdu był ten latawiec, naigrawał się ze mnie, starego. A i krowę widziałem, a jakże, chodziła po torach jak jaka hrabina, wszystko widziałem, tylko daj, siostró w Chrystusie, naparsteczek czegośkolwiek. Jeśli żałujesz mnie nikczemnemu pestkóweczki, to daj choć denaturę, ulituj się...

Babka Linsrumowa wyrwała z trudem swoje ręce zroszone łzami zrozpaczonego rzemieślnika i szybciotko zaczęła uciekać. Pan Skierś podniósł się z klęczek i ujrawszy tylu świadków swego upodlenia, jął wygrażać pięściami.

– Spalę was wszystkich, łachudry, bydliny...

Po dłuższej chwili, wyczerpawszy wszystkie groźby, ruszył w dalszą drogę wypełnioną piękną i męską pieśnią:

Ura, ура,
Idziom my na wroga
Za światuju Rassiju,
Za bielawo cara...

Tymczasem pani Linsrumowa podążała śpiesznie w kierunku kolei, gdzie spodziewała się zastać dwie pozostałe krowy, z których jedna była cudza, oddana do Linsrumów na letni wypas. Jakoż wkrótce spostrzegła dziwne ruchy w młodym owsie, szamotaninę, czyjś tupot i brzydkie przekleństwa. Po chwili na miedzę wypadł Ferdzia, okładając kijem zad pocziwej Krasuli.

– Ferdzia, kto ciebie tych słów nauczył? Innej wiary jesteś, ale i w żydowskim domu pewnie tak nie mówią?

– A bo nie słuchają się, chachary.

– Polka widziałeś?

– No nie – rzekł z wahaniem Ferdzia. – Nie.

– A skąd tu krowy?

– A bo Polek prosił, żeby zapędzić do domu...

Babka zręcznie chwyciła chłopca za ucho.

– Nie kłam, Ferdzia, powiedz prawdę, bo do ojca pójde.

– Ja nie wiem, proszę pani, ja nic nie wiem, gonię krowy, żeby nie chodziły po torach.

– A gdzie jest Polek?

– Nie wiem, ja nic nie widziałem. Oj, oj jak boli! – krzyknął Ferdzia, przeląkwszy się energiczniejszej manipulacji Babcinej ręki przy jego uchu.

– Wszyscy Żydzi po śmierci idą do piekła, ale ty, gdybyś mówił zawsze prawdę i żył jak chrześcijanin...

– Ja chcę żyć jak chrześcijanin, ale ja nic nie mogę powiedzieć.

– Ach tak – rzekła rozgniewana Babcia i silniej ujęła Ferdziowy organ słuchu.

– Oj, oj, ja wszystko zaraz powiem: oni poszli na wojnę.

– Co ty pleciesz, na jaką wojnę?

– Oj, wielka wojna! Oni poszli walczyć naprawdę – w tym momencie udało mu się wyzwolić z rąk zdumionej pani Linsrumowej, skorzystał więc z najprostszego rozwiązania kłopotliwej sytuacji i rzucił się do ucieczki. Babka została sama z krowami skwapliwie zgarniającymi jęzorami dorodny cudzy owies.

– Ferdzia, poczekaj, dam ci cukierka!

– Ja nie mogę, mnie się śpieszy, ja nie lubię słodczy!

Wobec tego Babka pognęła krowy do domu. Ale i ta powrotna droga nie była usłana różami. Należało wszak przejść obok sklepu baptysty, a tam podrygiwała postać niestrudzonego pana Skiersia.

Dzieukom tugo, tugo, tugo,
A sądatom lubo, lubo,
A sądatom charaszo...

Z tym śpiewem podchmielony rękodzielnik próbował wkroczyć do sklepu, gdzie nawet piwa nie trzymano ze względu na alkoholowy charakter tego napitku. Niedźwiedziej postawy baptysta bardzo łagodnie wypychał szewca za próg, przechodząc do porządku nad jego niewybrednymi insynuacjami.

Jak na złość tu właśnie Krasula musiała się zatrzymać, aby szczytnąć niedojrzały słonecznik zwieszający się nad płotem. Skiers natychmiast skorzystał z nadarzającej się okazji:

– Dobrodziejko najmiłsza, ozdobo życia mojego, lilijo czysta...

Lecz Babka, nauczona smutnym doświadczeniem, nie była ciekawa dalszych wynurzeń pana Skiersia. Nie żałując leszczynowej witki, zmusiła obie krowy do potężnego galopu. Sąsiedzi, nieruchomi i leniwi w oknach, z uwagą przyglądali się niecodziennemu wydarzeniu.

Niczego jednak los nie oszczędził tego popołudnia Babce Linsrumowej. Kiedy z kawalkadą krów zbliżała się już do bramy swego podwórza, zza rogu, uliczką wiodącą od stacyjki kolejowej, wyszli państwo Dobrzyńkiewiczowie. Ubrani w białe, płócienne stroje, prowadzili przed sobą umytego ładnie, uczesanego Zenusia, który prawą rękę niósł na temblaku.

– Pani nie idzie na Majowe? – spytała Dobrzyńkiewiczowa.

Babka gorączkowo mocowała się z zamkiem furty. Krasula, powodowana niezrozumiałą ciekawością, ruszyła w kierunku Zenusia.

– Mamo, ona bodzieee...

– Ach, pani, tyle zajęć, w domu się chyba pomodłę.

– Czy Polek wrócił?

– Przepadł, pani, co to za latawiec, tylko dokazywanie jemu w głowie.

– Muszę pani powiedzieć, że dziś ugryzł Zenusia w rękę. To niedobry chłopiec. W jego sytuacji, kiedy nie ma rodziców ani jasnej przyszłości przed sobą, powinien inaczej postępować, powinien zaskarbiać sobie życzliwość ludzi.

– Święte słowa, już ja mu, jak wróci...

– Chciałbym tylko dodać – wtrącił się Zenuś – że wybryki Polka idą w parze ze słabymi postępami w nauce. To nie jest pocieszające. Do widzenia pani.

– Do widzenia, aniołku – rzekła upokorzona Babka. – Jakiż to rozumny chłopczyk, bodaj go gęś kopnęła – dodała cichutko, otwierając bramę.

Dziadzia, na widok zdenerwowanej żony i krów wytrąconych z równowagi dziwnym popołudniem, przerwał na chwilę ciosanie kołków, pokiwał głową i splunął z dezaprobatą.

– Co ja się dziś wstydu najadłam – poskarżyła się Babka Linsrumowa. – A on przepadł. Ferdzia bredzi, że na jakąś wojnę poszedł. Boże Ty mój, co biedy z tymi dzisiejszymi dziećmi...

Zamknęła krowy w oborze, uczesała się ponownie, chcąc wrócić do przerwanych nieprzewidywanymi wypadkami zajęć. Lecz robota jakoś nie szła.

– Gdzie go licho poniosło? Co oni znowu wymyślili?

Dziadzia chrząknął w milczeniu, szybko ruszając zrudziałymi wąsami.

– Może pójść szukać? Żeby jakieś nieszczęście... – zastanawiała się głośno pani Linsrumowa.

Na ulicy zaskrzypiały rozeschnięte koła. Pustym białym wozem jechał do domu Pluska. Głowę zwiesił melancholijnie, suta jego broda rozpląszczyła się na piersi jak jesienny liść klonowy. Widocznie drzemał. Koń znał drogę.

Babka Linsrumowa podbiegła do płotu.

– Panie Pluska, nie widział pan Polka?

Woźnica ocknął się, instynktownie sięgnął po bicz wetknięty za cholewę.

– Prr!

Powoli odwrócił się, spoglądając na Babkę bez przyjaźni.

– Pani pytasz o tego chuligana?

– Panie Pluska kochany, krowy wróciły, a on badzia się...

– Pani Linsrum, ja pani tylko to powiem: jak ja jego złapię, to pani możesz poszukać nowego chłopca.

– Boże, Boże, panie Pluska, co pan mówi?

– Ja mówię, co ja wiem. On we mnie rzuca kamieniami i poezje głupie wymawia. Żeby nie to, że ja dziś do wody wejść nie mogłem, to on by już nie był Polek.

– Jak pan może tak mówić o sierocie? Bóg raczy wiedzieć, co się z nim dzieje.

– Pani widzi tego Skiersia? Czy Żyd śpiewa głupie piosenki i leży na drodze? To jest takie wychowanie, pani Linsrum.

– My nie możemy uderzyć Polka.

– Każde dziecko ma miejsce, żeby bić, pani Linsrum. Pani krzyknie na konia: wio!, bo ja dziś nie mogę.

Zaprzęg pana Pluski ruszył w dalszą drogę z dzwonieniem sfatygowanej upręży, żalosnym skrzypem piast. Furman wsadził bizun za cholewę i popadł w senny namysł.

– Ach co za wstyd, jaka hańba – szeptała do siebie Babka wracając na ganek. Usiadła tu z westchnieniem na zydelku, aby dokładnie przeanalizować sentencje pana Pluski.

Dziadzia zebrał kołki i odniósł je pod świron. W tej czynności towarzyszyła mu gorliwie Zazula. Znudzony Panfil próbował ją zaczepić, chwytając koniuszkami zębów wystrzępiony ogon, ale kura podniosła taki krzyk i tak nie posiadała się z oburzenia, że Babka musiała przerwać rozmyślanie:

– Bodaj ciebie wilcy, leż spokojnie!

Panfil przymknął szybko powieki i zamarł w bezruchu, lecz Zazuli to nie zadowoliło. Jeszcze długą chwilę gdakała poirytowanym tonem.

Zadumę pani Linsrumowej przerwało tym razem głucho stęknienie furtki. Zjawił się gość wcale niespodziewany: posterunkowy Maciejko. Ładnie zasalutował, otarł pot

z czoła i wewnętrznego otoku czapki, następnie wysunął lekko lewą nogę do przodu, dając tym do zrozumienia, że przybywa tu na poły prywatnie.

– Gorąco, pani Linsrumowa.

– Oj tak, panie komendancie.

– Jeszcze nie komendant, może z czasem... No tak, co to ja chciałem powiedzieć? Maj, a takie silne słońce.

– Racja, panie komendancie.

Przez moment milczeli oboje. Maciejko sapał donośnie.

– No tak, co to ja chciałem powiedzieć? Namacha się człowiek przez cały dzień.

– Ugościłabym pana komendanta pestkóweczką, ale pewnie za gorąco?

– No, już, że tak powiem, wieczór, dzięki Bogu, ochładza się powoli.

– Może wstąpimy do kuchni.

– Z miłą chęcią, pani Linsrumowa.

Babka zajrzała do kredensu.

– A może spirytusiku na tureckim pieprzu?

– Z miłą chęcią.

Pan Maciejko przełknął zgrabnie kieliszek zwany służbowym i zastygł z ustami w trąbkę, wypuszczając ostrożnie powietrze.

– No tak, co to ja chciałem powiedzieć? Dobry trunek.

– Mój to lubi do obiadu wypić taką szklaneczkę. Starszy człowiek, panie komendancie, siły do roboty potrzebuje.

– I owszem. Do roboty siła potrzebna.

– Może jeszcze kieliszeczek?

– Broń Boże, chyba że nie taki pełny.

Babka nalała przez grzeczność do pełna.

– Nasz wiek nie jest długi, wypijemy kieliszeczek drugi – rzekł pan Maciejko.

Zrealizowawszy swą zapowiedź, chuchnął już żywiej.

– No tak, co to ja chciałem powiedzieć? Po sąsiedzku zaszedłem, że tak powiem, w pewnej sprawie.

– O Jezu – przestraszyła się Babka. – Przecież my wszystkie podatki jak należy płacimy i chorągiew na święta wywieszamy. Może jeszcze pieprzóweczki?

– Jak ten czas kochany leci, wypijemy kieliszeczek trzeci – rzekł na to posterunkowy Maciejko.

Zadość uczynił obietnicy i nie chuchnąwszy tym razem, rozpiął z lekka pas.

– No tak, co to ja chciałem powiedzieć? Pani gospodyni, sprawa, że tak powiem, obywatelska. Jesteśmy obywatelami państwa, a państwo jest naszym państwem. Państwo to wielka rzecz i nie na nasz rozum. Ja jestem państwowy, pani jest państwowa, wszyscy jesteście państwowi, że tak powiem.

– O Boże mój, naleję jeszcze?

– Nasz żywot nic nie warty: wypijemy kieliszeczek czwarty – odparł pan Maciejko.

Tym razem wyprostował nogi pod stołem i chwilę się namyślał.

– No tak, co to ja chciałem powiedzieć?... Przeciwnie państwu nic nie wolno mówić. Nie wolno, tego-tam, podważać, żadnej, panie, że tak powiem, roboty, bo państwo to jest państwo. A u nas pojawili się jacyś, że tak powiem, włóczęgi i podważają, i policja państwowa nie dopuści...

– Włóczęgi i podważają, Matko Boska Ostrobramska, a nasz Polek zginął... Może jeszcze troszeczkę?

– Do wiersza już nie powiem, bo dalej po rosyjsku – usprawiedliwił się posterunkowy. Następnie kontynuował swój wykład: – Z czego oni, że tak powiem,

niezadowoleni? Może im państwo nasze państwowe nie podoba się? Może jakieś inne państwo im potrzebne? A pani Linsrumowa na konto naszego państwa jak?

– Ach, panie Maciejko, dla mnie nasze państwo w sam raz. Dla takich ludzi jak my, niezamożnych, panie Maciejko, i prostych, każde państwo dobre, to jest, chciałam powiedzieć, nasze państwo kochane najlepsze. Może jeszcze kieliszeczek?

– Wystarczy, że tak powiem. Jest instrukcja, że na służbie i po służbie nie można. Co to ja chciałem powiedzieć?

– A Polka naszego nie widział pan?

– Że tak powiem, nie widziałem...

– Dziecko przepadło, panie Maciejko, a tu podważają, Boże, mój ty Boże...

– Znaczy, pani Linsrumowa, obywatel państwowy obowiązany jest uważać. Jeśli kto obcy pojawi się w Młynach Dolnych albo Górnych, trzeba melduneczek złożyć na posterunek, i to musowo. Dzieciom, i owszem, należy zaznaczyć, bo dzieci więcej czasem od starszych widzą. Kto obcy, niemeldowany – na posterunek, a my, że tak powiem, policja państwowa, wiemy, co dalej zrobić.

– Tyle tu różnych kręci się koło domu, i bezrobotni, i – wstyd powiedzieć – bradiagi.

– Wszystkich potrzeba zgłosić, policja państwowa, i owszem, sprawdzi jak należy.

– Polek, dziecko, gdzie ty jesteś, sieroto?... Może jeszcze kieliszeczek?

– Można tak na ostatek. Ale nie powiem już do wiersza, bo dalej to tylko po rosyjsku.

Pan Maciejko spełnił jeszcze jeden pucharek, zaczął ją doprowadzać do porządku mundur oraz całe państwowe wyposażenie.

– No tak, co to ja chciałem powiedzieć? Do widzenia, pani Linsrumowa. Niech pani pamięta: państwo to jest państwo.

– Gdzie by człowiek zapomniał taką rzecz, choć moja głowa drena, już nie ta, co dawniej – zapewniała Babka odprowadzając posterunkowego Maciejkę do furtki.

Ze świronu wyszedł Dziadzia, niosąc świeżo oprawioną kozią nóżkę. Babka, widząc ten instrument kary cielesnej w rękach Dziadzi, rozrzewniła się niespodzianie:

– Ach, po co to? Ja mu wszystko daruję, byleby tylko wrócił.

Panfil, nieświadom sytuacji, chwycił za koniec dyscypliny i omal jej nie wyrwał z dłoni Dziadzi Linsruma. Za wybryk ten musiał spróbować na własnej skórze skuteczności koziej nóżki. Karę przyjął niegodnie, kryjąc się co rychlej za budę.

Z ziemi powstawał już mrok. Drzewa zastygły na noc w bezruchu. Ponad horyzontem, na obłoku, jak na fioletowej poduszce, leżał złoty koleczyk nowiu. Gdzieś w tym wieczorze ciągle jeszcze błdził niestrudzony Skiers, a z nim nieodstępna pieśń:

Ura, ура,
Idziom my na wroga
Za światuju Rassiju,
Za bielawo cara...



III

Polek nie mógł się ruszyć. Ręce i nogi miał związane, a klatka była ciasna. Pojedyncza świeczka skąpo rozświetlała tę gigantyczną piwnicę wypełnioną prawie do kolan czarną i wstrętną wodą. Tuż obok, zdawałoby się za ścianą, szumiała Jaskula, tocząc się po omszałych kamieniach. Wartownicy siedzieli na cementowej wysepce wśród porozdzieranych rur i olbrzymich, zardzewiałych śrub. Wyglądali groźnie: wszyscy mieli szerokie pasy wojskowe i noże fińskie, a piersi generałów przecinały nawet koalicyjki. To była doprawdy klęska.

Generał Syrojeżka spojrział na zegarek.

- Proszę, już dziewiąta. Wodza jeszcze nie ma.
- Major mógł mieć defekt w rowerze – rzekł pułkownik Rysio.
- Ile jeszcze będziemy czekać, panowie? Ja rozpocząłbym wstępne badania.
- Nie śpieszmy się, użyjemy sobie, czasu przecież dużo.
- Ale sztandar, sztandar?
- Są wszyscy w naszych rękach. Według prawa oznacza to, że przegrali. Od dziś będą niewolnikami.
- Wielka mi radość. Stado brudasów.
- Zaczniemy od mycia. Chude to, bo chude, ale siłę swoją mają. Ja bym wziął na przykład Polka.

- Dlatego, że ci oko podbił?
- Nie wiem, może. Lubię hardych.
- Na kartoflach hodowani, patrz, jakie mają brzuchy.

Generał z pułkownikiem, brnąc w wodzie, podeszli do pierwszej klatki, w której siedział Łapa.

- Widzisz go – powiedział generał Syrojeżka – sama skóra i kości. A jaki blady, pewnie ze strachu.

- Wódz go chyba weźmie. Trochę szkoda, że już się skończyło. Zostały tylko Zajelniaki i Podjelniaki, w ciągu tygodnia i tamtych podbijemy.

- Wiesz co, a może by poprobować Łapę? Jeśli wódz go zabierze, to ja bym miał ochotę teraz polaskotać.

W klatce Łapa poruszył się niespokojnie. Drobne krople potu wystąpiły mu na czoło.

- Może to i racja. Strupel, chodź no tutaj.

Wezwany podpułkownik żywo ruszył przez wodę ku swoim zwierzchnikom. Był to chłopak mocny, cały w czarnych piegach.

- Odejdźcie – warknął Łapa.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI